SAM NEILL

CZY JUŻ TO KIEDYŚ MÓWIŁEM?

WSPOMNIENIA



Kocham tę książkę!
GRAHAM NORTON

Sam to legenda.
LAURA DERN

Ale się ubawiłam!
MERYL STREEP

Czuła, dowcipna, wzruszająca.
JANE CAMPION

Obłędnie wciągający pamiętnik.
STEPHEN FRY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
DID I EVER TELL YOU THIS? A MEMOIR

Copyright © Sam Neill 2023, 2024
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Robert Waliś 2026
All rights reserved

Redakcja: Marzena Wasilewska

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: W.H. Chong

Zdjęcie na okładce: © Thomas Laisné/Contour, Getty Images

Przygotowanie do druku okładki polskiej: Aneta Skwara

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYDAWNICTWO
ALBATROS

ROZDZIAŁ PIERWSZY: CZYM SIĘ ZAJMUJE TWÓJ TATA?

Kiedy moja najmłodsza córka, Elena, była mała i zaczynała naukę w jednej ze szkół (żadna z nich mi się nie podobała), nauczycielka zapytała dzieci: „Czym zajmują się wasi rodzice?".

Małe rączki powędrowały w górę i klasa wypełniła się odpowiedziami. „Moja mamusia jest prawniczką". „Mój tatuś jest księgowym". „Moja mama buduje domy". I tak dalej.

Kiedy przyszła kolej na Elenę, jej odpowiedź była spostrzegawcza i całkowicie prawdziwa.

„Mój tata siedzi w przyczepach".

Tak, to prawda. Właśnie to robię przez większość życia: siedzę w przyczepach gdzieś w pobliżu planu filmowego i czekam, aż ktoś powie mi, co mam robić. Kiedyś w tym czasie czytałem gazety albo nawet scenariusze, ale ostatnio szukam rozrywki w telefonie... i nigdy jej nie znajduję. Od czasu do czasu ktoś puka do drzwi i asystentka czyjejś asystentki grzecznie pyta, czy mam ochotę na herbatę. Oczywiście, że tak. Jeśli mam wyjątkowe szczęście, mogę nawet dostać lunch, ale tym zajmuje się już asystentka asystentki, która przyniosła herbatę. Kiedy Elena odwiedzała mnie w pracy, właśnie tym się zajmowałem. Siedziałem w przyczepie na parkingu, piłem herbatę i czekałem: oto tata w pracy.

Brzmi jak dobre życie, prawda? Przynajmniej jest spokojnie. Ale od czasu do czasu ktoś mówi: „Potrzebujemy pana na planie,

panie Neill". Wtedy, mrużąc oczy, wychodzę na światło dnia, pokonuję pieszo parę metrów i przez kilka sekund robię to, za co mi płacą. Gram. Jeśli dopisze mi szczęście, zdarza się, że dobrze to wychodzi.

Ale czasami, kiedy uda się przejść dodatkowe kilka kroków, naprawdę zaczynam żyć. Właśnie o tym życiu, a także o aktorstwie, jest ta książka. Nie ma w nim niczego niezwykłego, ale jest moje. Robiłem trochę więcej niż siedzenie w przyczepach. Duża część tego bawiła mnie i sprawiała mi satysfakcję. Wiem na pewno, że wszystko było niespodzianką. Z perspektywy czasu myślę, że miałem więcej szczęścia, niż na to zasłużyłem.

Właśnie się zastanawiam, dla kogo dokładnie piszę te słowa. Dla swoich dzieci, a może dla ich dzieci? Może dla ciebie, czytelniku, którego przelotnie zainteresował pewien pospolity aktor? Każdy artysta powinien poznać swoją widownię. Wiedzieć, czego ona oczekuje. Co powinienem jej dać.

Ale nie wiem, kim jesteś, więc trudno dobrać właściwy ton. Na jaką poufałość mogę sobie pozwolić? Jak bardzo powinienem być wesoły? Ile rozrywki ci zapewnić? Trochę zbija mnie to z tropu.

Nagle doznaję olśnienia. Piszę to dla siebie! Być może to kolejny z moich samolubnych impulsów; słyszałem, że miałem ich wiele na przestrzeni lat.

Ale prawda jest taka, że jestem chory. Może nawet umieram. Możliwe, że będę musiał pośpieszyć się z pisaniem. Po raz pierwszy w życiu nie mam dużo czasu do namysłu. A pisanie – notowanie myśli i wspomnień – jest jak łagodzący balsam. Odwraca moją uwagę od problemów.

Dlatego też ta książka jest nieco niechlujna. Piszę w pośpiechu. Jeśli cię znudzę, możesz w każdej chwili ją odłożyć, ale wróć, kiedy tylko zapragniesz.

Tymczasem dobrze się bawię i mam nadzieję, że ty będziesz mógł powiedzieć to samo. Kimkolwiek jesteś...

IRLANDIA

Być może powinienem zacząć od początku. Przespacerujmy się tą wietrzną ścieżką, a pokażę ci widoki.

Urodziłem się w 1947 roku w Omagh w hrabstwie Tyrone w Irlandii Północnej. Rodzice nadali mi imię Nigel. Mieszkaliśmy w wynajętym skromnym georgiańskim domu, Mullaghmore



Matka opowiadała, że jako niemowlę bałem się obcych kobiet, które mówiły do mnie pieszczotliwie i szczypały mnie w policzki.

House, na obrzeżach Omagh, w otoczeniu pól, drzew, kamiennych murków i osłów. Mój ojciec, Dermot, Nowozelandczyk, służył w brytyjskiej armii, a po wojnie – i po udziale w okupowaniu Triestu – pełnił służbę w magazynie wojskowym Omagh.

Mama i mój brat, Michael, dołączyli do taty we Włoszech i spędzili tam bardzo szczęśliwy rok. Kiedy tata dowiedział się od innego oficera o rozwiązaniu regimentu austriackiej kawalerii w Wiedniu, skonfiskował olbrzymi stary ambulans, pokonał dwie górskie przełęcze, ukradł dwa niesamowite konie i przewiózł je przez Alpy do Triestu. Jego zadanie w tym mieście polegało na niedopuszczaniu do starć niedobitków faszystów i komunistów w tym regionie Włoch, który słynął z niepokojów. Ale on i mama głównie jeździli po okolicy konno, świetnie się bawili, no i spłodzili mnie. Tata twierdził, że stało się to w hotelu Danieli w Wenecji „pewnego deszczowego popołudnia". Danieli był najlepszym hotelem w mieście, ale moi rodzice nie mieli grosza przy duszy, więc podejrzewam, że korzystali z promocji dla sił okupacyjnych. Od początku byłem skazany na życie w pięciogwiazdkowych hotelach.

Nie jestem pewien, czy tata był w Omagh, kiedy przyszedłem na świat, ponieważ mniej więcej wtedy wyjechał na rok do Grecji. Szalała tam wojna domowa, a on służył jako doradca jednego z greckich generałów, który walczył z komunistycznymi powstańcami. Nigdy nie rozmawialiśmy o czynnej służbie taty, ale kiedyś opowiedział nam, jak utknął w górach, otoczony przez wrogie siły. On i jego ludzie okopali się i czekali na posiłki. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyli kuriera, który wspinał się po zboczu, unikając ognia snajperów. Udało mu się dotrzeć do celu i oddał w ręce mojego ojca poważnie wyglądający dokument. Tata otworzył go i dowiedział się, że ma na koncie w banku Lloyds dwa szylingi i sześć pensów debetu i jeśli natychmiast tego nie wyjaśni, bank będzie zmuszony zamknąć rachunek. Do końca życia za każdym razem, gdy mijał placówkę Lloydsa, przeklinał.

Po powrocie przeżył prawdziwą tragedię. U kobiet w górskiej wiosce, gdzie toczyły się najbardziej intensywne walki, zamówił dywan, którego wykonanie zajęło większą część roku. Przywiózł go statkiem, a nawet widział, jak dźwig wyładowuje go na nabrzeże w Southampton. Ale nigdy więcej go nie zobaczył, bo pracownicy portu go skonfiskowali.

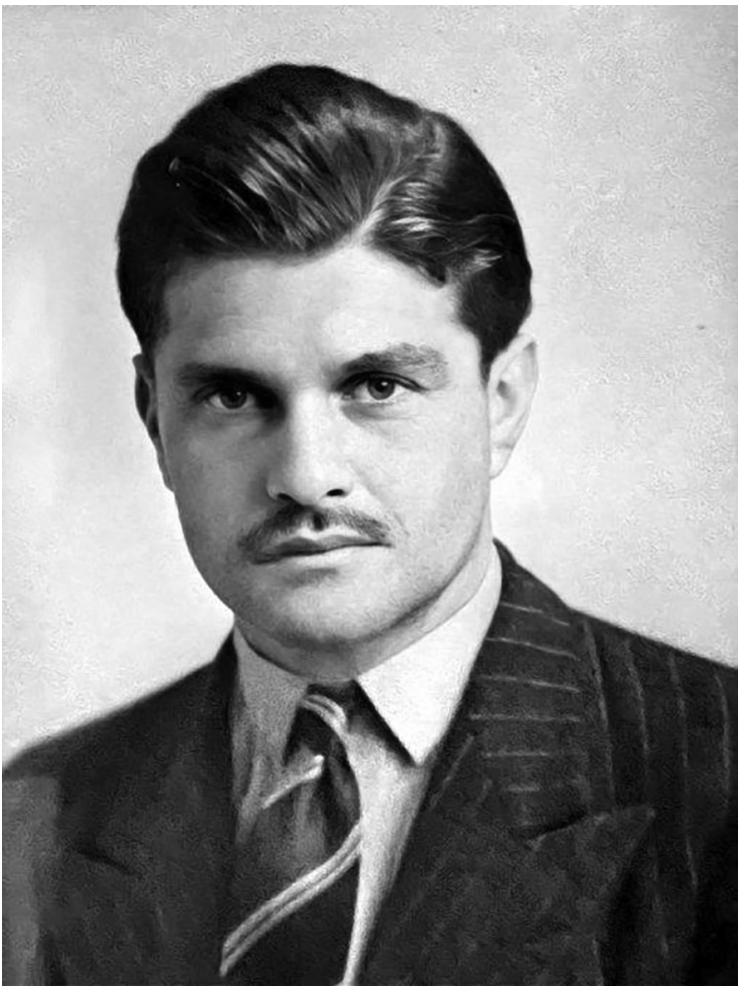

„Twój ojciec – powiedziała kiedyś moja ciotka, patrząc na mnie znacząco. – Przystojniak był z niego".

Urodziłem się w kuchni w Mullaghmore House. Na kuchennym stole. Biedna mama; nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego akurat na stole.

Poród podobno został na chwilę przerwany, kiedy położna musiała wygonić dwie świnie, które jakimś cudem dostały się do domu. To może tłumaczyć moją słabość do tych zwierząt. Jednym z moich najlepszych przyjaciół jest uratowany przeze mnie przed piętnastu laty podstarzały knur nowozelandzkiej rasy Kunekune, który nosi żeńskie imię Angelica. Jak to bywa ze zwierzętami i ich opiekunami, z czasem coraz bardziej upodabniamy się do siebie. Obaj jesteśmy marudni, brzydcy, mamy siwe wąsy i lubimy, kiedy ktoś drapie nas po plecach.

Co więcej, rok 1947 był chińskim rokiem świni. Ja i Angelica byliśmy sobie przeznaczeni.



Stół kuchenny w Mullaghmore House, miejsce moich narodzin.

Moja matka, Priscilla – bardzo angielska, bardzo ładna i bardzo energiczna – lubiła konkrety, przypuszczam więc, że mój poród na kuchennym stole obył się bez zbędnych ceregieli. Mama miała niezwykle szybkiego kuca Connemara. W swoim pamiętniku napisała: *Kiedy tylko Nigel się urodził, ruszyłam na polowanie*



Moja matka, wyjątkowo ze szminką na ustach.

na grzbiecie Danny'ego. Jest cudowny. Nie wspomniała o tym, że urodziłem się z żółtaczką. Podchodziła do życia z opanowaniem – prawdziwa oaza spokoju. Była towarzyska, zabawna i szczodra. Żyła dla innych ludzi, psów i koni. Wszyscy ją kochali, a ona kochała nas. Wkrótce wyjaśnię, skąd wzięło się moje imię.

Niestety, niewiele pamiętam z Omagh. Wróciłem tam jednak kilka razy i odwiedziłem Mullaghmore House. Teraz znajduje się tam niewielki hotel, a jego miły właściciel, Louis Kelly, zawsze jest wobec mnie cudownie gościnny. Razem wpatrujemy się w stół kuchenny, miejsce zbrodni.

Louis opowiada wspaniałe historie. Uwielbiam tę o jego dziadku, który zakochał się w dziewczynie z drugiej strony barykady, katoliczce albo protestantce, nie pamiętam. W tamtych czasach nie mogło być zgody na coś takiego. Młodzi poszli na pole, położyli się na stogu siana i oznajmili, że zostaną tam na noc. Na miejscu pojawiły się obie oburzone rodziny. Przyszły dziadek Louisa wstał, pomachał bronią i powiedział: „To jest pistolet. Jest w nim sześć naboi. Spędzimy tutaj noc i zastrzelę każdego, kto się sprzeciwi". Rodziny przezornie się wycofały, naradziły się, po czym wróciły rano i oznajmiły: „W porządku. Już możecie zejść z tego stogu. I jeśli musicie, możecie się pobrać".

Niezwykle romantyczne i cholernie irlandzkie. Mam nadzieję, że niczego nie przekręciłem.

Kiedy po raz ostatni wyjeżdżałem z Omagh, poszedłem pożegnać się z miasteczkiem i z zadowoleniem zobaczyłem, że zostało odbudowane po ohydnym zamachu bombowym z 1998 roku. To ładna osada wybudowana na łagodnym zboczu nad leniwą rzeką, skąd rozciąga się wspaniały widok na łagodne zielone wzgórza hrabstwa Tyrone. Uznałem, że najwyższy czas wyjechać, ponieważ nic mnie z tym miejscem nie łączy, mimo że się w nim urodziłem. Nikt mnie tam nie zna, i dobrze. Musiałem jednak skorzystać z toalety i miałem ochotę na filiżankę herbaty,

zatrzymałem się więc w przydrożnym zajeździe tuż za miastem i złożyłem zamówienie. A wtedy stało się coś, co zaparło mi dech. Kobieta, która przyniosła herbatę, nachyliła się i powiedziała bardzo cicho: „Jesteśmy tutaj bardzo z pana dumni". Myślałem, że się rozpłaczę.

Moje najwcześniejsze wspomnienie dotyczy choroby. Cierpiałem na krztusiec i leżałem straszliwie samotny w ogromnym białym pokoju, podczas gdy na zewnątrz było bardzo zimno, ciemno i strasznie.

To prawda, poważnie się rozchorowałem. Krztusiec może zabić – mama mówiła, że niewiele brakowało, a umarłbym. Miałem wtedy ze trzy latka. Jako dziecko bardzo się jąkałem i mama zawsze obwiniała o to chorobę. Potem odwiedziłem ten pokój i tak naprawdę jest mały. Wtedy wydawał mi się wielki. No i oczywiście nie byłem sam: miałem najlepszą matkę, o jakiej może marzyć chłopiec.

Mieszkaliśmy wówczas w bielonym wapnem prostym osiemnastowiecznym domu na skałach przy plaży Tyrella w hrabstwie Down. To surowe i urokliwe miejsce. Przez cały dzień można oddychać słonym powietrzem; bliskość Morza Irlandzkiego sprawia, że wszystko pachnie słodkimi wodorostami. Nasz dom nazywano Strażnicą, ponieważ wybudowano go dla straży przybrzeżnej. W salonie kiedyś stała łódź, której w osiemnastym wieku używano do łapania przemytników. Przemytników! Kiedy byłem dzieckiem, stale czytałem o przemytnikach lub piratach.

Niektóre z moich najpiękniejszych – choć już zamglonych – wspomnień dotyczą tej wietrznej plaży: biały dom za naszymi plecami, najwyższy obiekt na horyzoncie. Michael, moja młodsza siostra Juliet i ja bawimy się z przyjaciółmi, a podczas odpływu łapiemy na skałach kraby i homary za pomocą drutu z ogrodzenia.

Ojciec był oficerem w Królewskim Pułku Fizylierów Irlandzkich i jego batalion stacjonował parę kilometrów od naszego

domu. Traktowaliśmy Fizylierów jako nasz rodzinny regiment. Później poznałem dwóch innych krewnych, którzy także w nim służyli – wujka mojego taty, Redmonda Neilla, oraz kuzyna, Charliego Rattraya. Obaj byli wyprostowani jak struna i nosili identyczne wąsy jak tata.

Strażnica stała na uboczu, ale dzięki generatorowi wiatrowemu złożonemu z akumulatorów samochodowych zasilanych przez wiatrak mieliśmy prąd. Wiatru nigdy nie brakowało. Tata – człowiek praktyczny – pewnego razu musiał wymienić wiatrak,



Strażnica podczas odpływu. Kiedy był przypływ, woda podchodziła pod sam dom. Zwróćcie uwagę na wiatrak.

który wichura zrzuciła na skały. Wracając z Belfastu, zapomniał o belce podporowej, którą wiózł na dachu, wjechał z nią do garażu i prawie rozerwał na pół nasz niewielki samochodzik Standard Ten. To nie był wesoły dzień. Musieliśmy pożegnać się z prądem i zadowolić się świeczkami.

Tata czasami uruchamiał swoją często psującą się, samodzielnie skleconą łódkę z silnikiem Seagull i wypływaliśmy w morze, żeby łowić ryby. To była pierwsza z okropnych łódek taty, z jakimi miałem do czynienia. Wspólne wyprawy często zmieniały się w niespodziewaną przygodę, ale nikt się nie utopił, choć zapewne dzięki opatrzności, a nie umiejętnościom żeglarskim taty. Uwielbiałem te wycieczki... poza transportowaniem łodzi na brzeg, co wymagało cofania samochodem z przyczepą i zazwyczaj kończyło się rozpaczliwymi manewrami na oczach rozbawionych mieszkańców, którzy nie kwapili się z pomocą. Straszne.

Ale na plaży dzieci zmieniały się w odkrywców. Jednym z naszych ulubionych miejsc było nieoznakowane stanowisko archeologiczne, które zapewne było czymś w rodzaju podziemnego przejścia i grobowca korytarzowego. Byliśmy pewni, że kiedyś pełniło funkcję obronną. Po wejściu trzeba było przeczołgać się pod dużą kamienną płytą i każdy intruz mógł tam zostać zaatakowany przez obrońców. To było świetne miejsce na makabryczne dziecięce zabawy.

To przejście rozbudziło we mnie zainteresowanie archeologią, które towarzyszy mi przez całe życie. Zwłaszcza w odniesieniu do Irlandii. Fascynuje mnie na przykład Newgrange, potężna budowla wzniesiona na rzece Boyne niedaleko granicy. Zbudowano ją setki lat przed egipskimi piramidami i Stonehenge. To, że każde miejsce, w którym odkrywamy kości, nazywa się „grobowcem", uważam za porażkę współczesnej archeologii. Wyobraźcie sobie, że za kilka tysięcy lat ktoś odkryje Opactwo

Westminsterskie. Jest tam pełno kości, ale trudno nazwać je grobowcem. W Newgrange także znajdowały się kości, jest dla mnie jednak oczywiste, że cele tajemniczych budowniczych były znacznie poważniejsze niż pochowanie kilku wodzów. Budowali Łono Świata. Każdy, kto ma jakieś pojęcie o starożytnych religiach, wie, że ziemia często jest w nich postrzegana jako Matka (albo Gaja), a niebo jako Ojciec. W Newgrange znajduje się tunel, wydrążony w taki sposób, że w najkrótszy dzień roku promienie słońca oświetlają tylną ścianę w samym środku budowli. Budowniczowie zadbali o to, by w tym krytycznym momencie Matka Ziemia była zapładniana, co miało zapewnić obfite plony i bogaty rok. Kiedy zwiedzałem Newgrange, opowiedziałem tę historię przewodnikowi; tylko się spłoszył i nie zmienił swojej wersji wydarzeń. I tak myślę, że mam rację.

No ale wróćmy do naszego małego samochodu. Tata zapewne jeździł nim do pracy, ponieważ mama i my, dzieci, przemieszczaliśmy się wozem zaprzężonym w osła, a właściwie oślicę o imieniu Ginny, która była bardzo ładna, ale miała paskudne maniery. Siadaliśmy na wozie i mama wiozła nas wzdłuż plaży do Ballykinlar, gdzie robiliśmy najważniejsze sprawunki w wojskowym sklepie NAAFI. Chociaż uwielbialiśmy Ginny, nienawidziła, gdy się jej dosiadało, i kiedyś zrzuciła mnie na ogrodzenie z drutem kolczastym. Do dzisiaj mam bliznę na lewym kolanie.

Po drugiej stronie zatoki krajobraz dominowały hipnotyzujące błękitne Góry Mourne. W ich imponującej panoramie jest coś, co do dzisiaj nie daje mi spokoju. Jako dorosły wspiąłem się na najwyższy szczyt. Było to oszałamiające przeżycie, ale potem chmury się obniżyły, tak że w drodze powrotnej straciłem orientację i pobłądziłem.

U stóp gór znajduje się miasteczko o dość pospolitej nazwie Newcastle. Nic wielkiego, prawdę mówiąc, ale czasami jeździliśmy tam na wycieczki i wracając, raczyliśmy się na tylnym siedzeniu

„skałkami z Edynburga", kruchymi ciastkami, które uważałem za prawdziwe niebo w gębie. Spróbowałem ich wiele lat później i były obrzydliwe – tak słodkie, że wywoływały mdłości.

Hrabstwo Down pozostaje pięknym zakątkiem Irlandii. Jeśli można mówić o jakiejkolwiek zalecie społecznych niepokojów, jest nią to, że w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat Północ nie przeżywała oblężenia turystów. Kraj w dużej mierze pozostał taki, jak go zapamiętałem. Nie ma niczego lepszego od irlandzkiego wybrzeża.

Kiedy po raz pierwszy wróciłem do Tyrelli, nie potrafiłem znaleźć drogi na plażę pośród wąskich ścieżek między kamiennymi murkami. Zajrzałem do niewielkiego gospodarstwa i poprosiłem o pomoc. Oto ja, dorosły mężczyzna, który ostatnio był tutaj dwadzieścia pięć lat wcześniej, jako siedmiolatek.

Kobieta, która otworzyła drzwi, uśmiechnęła się i zanim zdążyłem otworzyć usta, powiedziała: „Jesteś jednym z synów Neillów". Jeszcze nigdy nie byłem tak zaskoczony. Okazało się, że w dzieciństwie przychodziliśmy do niej po mleko w kance. Ale... jak mogła mnie rozpoznać?

Po Tyrelli przez kilka lat mieszkaliśmy w Armagh, a w Strażnicy spędzaliśmy wakacje. Tata był kierownikiem tamtejszego magazynu wojskowego. To w Armagh poszedłem do swojej pierwszej szkoły – Girls High School. Nosiłem sweter ze skróconą nazwą szkoły i rodzice musieli mnie przekonywać, że litera G nie oznacza *girls*, tylko *general*, ponieważ nie chciałem mieć nic wspólnego z dziewczętami.

Powinienem lepiej pamiętać Armagh. Na pewno byliśmy jedynymi dziećmi w koszarach i dobrze poznaliśmy to miejsce. Znałem tam wielu mężczyzn i bardzo poważnie salutowałem wartownikowi za każdym razem, gdy przechodziłem przez bramę. Po szkole bawiłem się ze stadem beagli, które trzymał tata, a także z maskotką regimentu – potężnym wilczarzem irlandzkim, trzy

razy większym ode mnie. To biedne łagodne zwierzę zdechło na nosówkę, co złamało mi serce.

Przed naszym domem znajdował się stary kort tenisowy; bawiłem się na nim z bratem samochodzikami i żołnierzykami, a czasami graliśmy w tenisa. Nieco w dole wzgórza jest miejsce, z którym wiąże się moje jedyne wspomnienie dotyczące konfliktów religijnych. Razem z najlepszym przyjacielem, Jamesem Morrisem, zbiegałem na paradę – to musiał być dwunasty lipca – którą usłyszeliśmy z oddali. Zapowiadała się ekscytująco, ale kiedy się zbliżyliśmy, zaczęła się stawać coraz dziwniejsza i straszniejsza. Ludzie bili w bębny, mieli spocone, czerwone twarze, pomarańczowe szarfy i meloniki, a także niepokojąco zdeterminowane miny. Uciekliśmy.

To był spokojny czas na Północy; niepokoje miały się rozpocząć dopiero wiele lat później. Wydaje mi się, że nawet nie znałem słów „protestant" i „katolik", a przynajmniej nic dla mnie nie znaczyły. Przynajmniej dopóki nie pojechaliśmy do Nowej Zelandii. W mojej szkole było niezwykle ważne, żebyśmy pokonali w rozgrywkach rugby drużynę St Bede's, pobliskiej katolickiej szkoły. Poza tym nie miałem większego pojęcia o tych bzdurach. Nigdy nie miało to dla mnie większego sensu i nadal nie ma.

Niewykluczone, że byłem po prostu zbyt tępy, by zrozumieć, co się dzieje, ale mama kiedyś opowiedziała mi o czymś, co ją zaniepokoiło. Pozwoli wam to lepiej zrozumieć, jaką była osobą. Mieszkaliśmy wtedy w Strażnicy.

> Umywalka tak się zatkała, że wezwałam hydraulika z Downpatrick, kilkanaście kilometrów stąd. Powiedziałam do Helen, szesnastoletniej dziewczyny, która pomagała mi po odejściu Madeline (naszej niani):
>
> – Przyjedzie hydraulik z Downpatrick. Poczęstujesz go herbatą?

– To protestant czy katolik?

– Nie mam pojęcia, Helen. To hydraulik, ma naprawić umywalkę.

– Chciałabym to wiedzieć, zanim się pojawi.

– Nie mam jak tego sprawdzić, a poza tym to bez znaczenia... Masz mu zaparzyć herbaty.

Dziewczyna była strasznie naburmuszona, a gdy mężczyzna przyjechał, zobaczyłam, że w kuchni usiedli jak najdalej od siebie i nie zamienili ani słowa. Kiedy hydraulik wyszedł, Helen spytała mnie ostro:

– To był protestant czy katolik? Dowiedziała się pani?

Pięćdziesiąt lat później, podczas mojej ostatniej wizyty w Tyrelli, udało mi się zastać w domu właścicielkę Strażnicy. W dzieciństwie przyjaźniła się z moim bratem Michaelem i mieszkała w jednej z chatek należących do straży przybrzeżnej. Deirdre Dunseath przyjęła mnie bardzo serdecznie, poczęstowała herbatą i wyjaśniła, że Tyrella zasłynęła tylko z dwóch rzeczy.

Pierwszą było to, że parowiec SS *Great Britain*, pierwszy statek z kadłubem z żelaza i napędzany śrubą, zaprojektowany przez Isambarda Kingdoma Brunela, zacumował tam podczas swojego trzeciego rejsu przez Atlantyk w 1846 roku i utknął na rok zaledwie kilka metrów od Strażnicy. Brunelowi w końcu udało się uwolnić statek, ale musiał wyrzucić na plażę cały zapas węgla. Pamiętam, jak bawiłem się tym węglem w dzieciństwie. Był wszędzie, gładki i okrągły, ponieważ morze polerowało go przez sto lat.

Gdy spytałem Deirdre, jaka była ta druga słynna rzecz, popatrzyła na mnie jak na głupka. „Ty tu mieszkałeś", odpowiedziała. Zrobiło mi się miło, chociaż to nie ta sama liga.

Niedawno sprzedawała Strażnicę i zastanawialiśmy się nad jej kupnem, ale w końcu zrezygnowaliśmy. Byłoby mi tam smutno

bez mamy i taty. Jak w nawiedzonym domu. Lepiej pozostawić to za sobą.

Za niektórymi ludźmi nigdy nie przestaje się tęsknić.

Często myślę o swojej więzi z Irlandią. Czuję się tam dziwnie swobodnie i wszystko jest takie znajome: kamienne murki, drzewa, łagodne wzgórza, woń darni w ognisku, akcent ludzi. Czy to tylko sentyment? Myślę, że nie. Spędziłem tam pierwsze siedem lat życia, a takie doświadczenie pozostaje z człowiekiem na zawsze. Chyba że mam to w genach. Tysiące lat irlandzkiego dziedzictwa moich przodków. Kto wie? Postawiłem kamienne murki wokół swojej posesji. Nie mają żadnego praktycznego zastosowania, ale czuję się dzięki nim lepiej i to mi wystarcza.

Co ciekawe, tylko dwa razy grałem Irlandczyków na ekranie. Za pierwszym razem wcieliłem się w nieco niepokojącego dżentelmena w ekranizacji powieści Edny O'Brien *The Country Girls* (1983), ale ta postać prawdopodobnie była Brytyjczykiem. Drugą był ohydny major Campbell z Ulsteru z *Peaky Blinders*. Jeszcze nigdy tak dobrze nie bawiłem się na planie. Ktoś zasugerował, że powinienem przeprosić ludzi z Północy za tę „groteskową karykaturę", ale nie mam najmniejszego zamiaru tego robić.

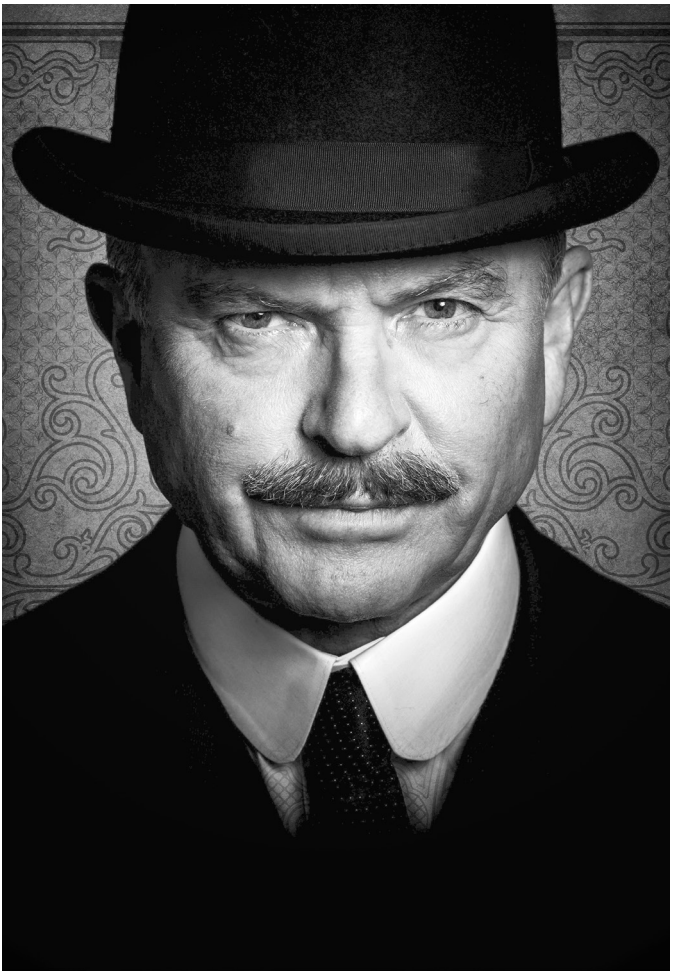

Przeuroczy major Campbell, *Peaky Blinders*.

CO SIĘ, U LICHA, WYDARZYŁO?

Być może o to spytacie. Mówiąc w skrócie, jestem „pod opieką lekarza". Niezbyt mi się podoba ta sytuacja, ale lubię to określenie.

Na początku marca 2022 roku poleciałem do Los Angeles w sprawach związanych z *Jurassic World*. Ośmioro członków obsady przez trzy dni udzielało wywiadów, pozowało do rozkładówek dla „Vanity Fair" i tak dalej – działania promocyjne. Wspaniale było spotkać się z przyjaciółmi półgłówkami i trochę się powygłupiać. Zauważyłem u siebie powiększone węzły chłonne na szyi, ale nie zwracałem na to większej uwagi, chociaż mój agent musiał skasować kilka zdjęć, ponieważ miałem na nich opuchniętą szyję. Alan Grant najwyraźniej nie może tak wyglądać.

Wróciłem do Sydney, żeby dokończyć pracę nad serialem *The Twelve*, i w wolnym dniu wybrałem się do swojego lekarza. Bardzo mu ufam, ale w tym wypadku zachował się chyba zbyt powściągliwie. Powiedziałem mu, że opuchlizna nie znika, a ja nie wiem dlaczego. Zapewnił mnie, że za powiększone węzły chłonne odpowiada niezdiagnozowany COVID i ta dolegliwość może mi towarzyszyć przez jakiś czas. Wróciłem do niego po tygodniu, gdy opuchlizna się powiększyła. Tym razem wysłał mnie do szpitala na badania.

Uznałem, że coś jest nie w porządku, gdy pielęgniarka robiła mi USG szyi. Nagle odłożyła urządzenie i prawie wybiegła z gabinetu. Niemal natychmiast pojawiła się lekarka i z poważną miną zabrała

się do pracy. Próbowałem żartować, ale nie udało mi się rozładować atmosfery. Następnego dnia wysłano mnie na tomografię. To badanie, przed którym faszerują cię odpadami z Czarnobyla, żebyś stał się radioaktywny, a następnie wsadzają cię do tunelu.

Nie mogłem od razu poznać wyników, ponieważ następnego ranka leciałem do Nowej Zelandii. Przynajmniej wracałem do domu. Rozłąka z rodziną trwała już zbyt długo i nie mogłem się doczekać powrotu.

Tamtego popołudnia byłem w domu syna, Tima, gdy zadzwonił telefon. Skontaktowała się ze mną hematolożka ze szpitala, doktor Lavee, i nie miała dobrych wieści. Powiedziała mi, że sytuacja jest bardzo poważna, i kazała natychmiast wrócić do Sydney. Okazało się, że mam angioimmunoblastycznego chłoniaka trzeciego stopnia (tak to się chyba nazywa) i że to naprawdę poważna sprawa, choć nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nie miałem ochoty czytać o tym w internecie, żeby się nie nakręcać, zresztą wierzyłem jej na słowo. Odparłem, że przyjadę dopiero za parę dni, bo od kilku miesięcy nie byłem na swojej farmie i chciałem się wyspać we własnym łóżku, porozmawiać ze zwierzakami, zasadzić trochę roślin i chociaż przez chwilę pobyć farmerem oraz winiarzem. Bardzo tego potrzebowałem i lekarka to zrozumiała.

Wróciłem do Sydney i już po kilku dniach leżałem w szpitalnym łóżku, gdzie pompowano we mnie rozmaite chemikalia, które miały zabić wszystko w moim ciele. W celach terapeutycznych. Żeby wyleczyć mnie z choroby, o której jeszcze kilka dni wcześniej nic nie wiedziałem.

No właśnie, nagle wszystko się zmieniło – wpadłem po uszy w gówno. Mimo to wciąż pozostaję radosny. Jestem pod opieką lekarza. Wierzę w medycynę. Mój świat z pewnością jednak wywrócił się do góry nogami... Właśnie to się stało, u licha.

Nie mogę się doczekać, co będzie dalej. Będę was informował na bieżąco.